

Fotografowaniem zająłem się na dobre w 2017 roku. Wtedy przeżywałem ciężkie chwile z powodu fatalnego stanu zdrowia. W kwietniu 2016 roku zaczęły się dolegliwości (to raczej delikatnie powiedziane), które nie wiem, skąd się wzięły. Na początku nie mogłem chodzić. Dobrzy ludzie pomagali mi w zakupach. Potem był trochę lepiej. Jakoś się poruszałem. Myślałem, że skończę na wózku inwalidzkim. A miałem jeszcze sporo kotów. Stawy, bo to one mi wysiadały, wymagały poruszania się. Miałem już stronę internetową. Uznałem, że najlepiej będzie ruszać się jak najwięcej, spacerować i przy okazji fotografować. Nie potrafię chodzić bez jakiegoś celu, ot tylko tak, żeby łązić. Miałem nie najlepszy aparat fotograficzny kupiony w 2009 roku. Na początku 2019 roku wymieniłem go na znacznie lepszego Nikona i tak do dzisiaj rozbudowuję stronę internetową. To głównie z pobudek zdrowotnych tym się zająłem. Podczas siedmioletnich już spacerów głównie po Katowicach, a także innych miejscowościach dokumentuję je tak, jak potrafię. Najpierw wybrane obiekty i miejsca, później prawie wszystko.

Wypadki na miasto trwają od godziny do nawet pięciu. I tak już pozostanie do końca. Przyjechałem do Katowic w połowie lat pięćdziesiątych. Teraz to zupełnie inne miasto. Nie wiem, czy jest ktoś znający je obecnie tak dobrze jak ja. Obszedłem niemal wszystko. Zostały nieliczne fragmenty. Lubię przyrodę więc i lasy Murckowskie i Panewnickie. Tam się dobrze czuję w otoczeniu ukochanej przyrody i z utęsknieniem czekam każdego roku na wiosnę. Przyjemnie jest też jesienią, ale tą wczesną, wrzesniową i październikową. Oczywiście przemierzam miasto sam. To po części wynika z mojego „kociego” charakteru. Tak mi najbardziej odpowiada. Do czego zmierzam po tym nieco przydługim wstępie. Od czasu do czasu przyczepiają się do mnie podejrzane typki. Nie wiem, czemu moje fotografowanie im zawadza. Przykłady: Jedna z katowickich szkół. Podchodzi facet i pyta się czy mam pozwolenie na robienie zdjęć. A co to pana obchodzi? mówię. Bo nie wolno. Nie wolno fotografować szkoły? Odbiło mu chyba. Na jednym z osiedli jakiś mężczyzna podchodzi i wrzeszczy na mnie, że on sobie nie życzy, aby go fotografować. Przecież ja pana nie fotografuję. Tak był napalony, że jakakolwiek dyskusja była zbędna, więc odszedłem. Innym razem jestem przed przedszkolem i szukam jak najlepszego miejsca do ustawienia się. Nagle z samochodu obok wyskakuje młoda kobieta. Jakim prawem robi pan tu zdjęcia? Proszę pokazać zezwolenie. Jeszcze czego, a pani to z policji? Za chwilę na jej zawołanie wyskakuje z samochodu chyba mąż, sięga po smartfona i ostentacyjnie kieruje go w moją stronę. Coś tam wrzeszczeli, odgrażali się, ale już nie zwracałem na nich uwagi i robiłem swoje. Plac zabaw. Fotografuję różne jego fragmenty i znowu jakaś paniusia nie życzy sobie fotografowania w tym miejscu. Przecież pani widzi, że dzieci nie fotografuję, są gdzie indziej, tylko różne urządzenia, jak huśtawki itp. Jednak widać było, że należy do awanturnic, więc nie kontynuowałem. Ustawiałem się do sfotografowania z zewnątrz marketu Aldi w Ligocie. Nagle przybiega ochroniarz i mówi mi, że tu nie wolno fotografować. A ja mu, że niech lepiej pilnuje wnętrza sklepu przed ewentualną kradzieżą. Takich incydentów było ze dwadzieścia. Na samym początku chciałem sfotografować halę nowego dworca w Katowicach. Błysk lampy zobaczyli ochroniarze, podeszli i kazali skasować zdjęcia. Trzeba mieć zgodę. Nie zależało mi na nich, więc skasowałem. Ale nie wiem, czy trzeba mieć na to zgodę. Przepisy dotyczące fotografowania są czasami nieprecyzyjne. W PRL-u wykonywałem mnóstwo zdjęć fotograficznych. Miejsca niedozwolone były oznaczone tabliczkami z napisem „ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA” i wszystko było jasne. Tak było na wiaduktach, mostach, zakładach przemysłowych i innych wybranych obiektach. Z racji pracy zawodowej wybrałem się na początku lat osiemdziesiątych do Raciborza. Tam miałem udokumentować niektóre zabytki. Jednym z nich było stare więzienie. Chodziłem wokół i „cykałem”. Miałem zezwolenie, chyba nawet wojewody. Pamiętam, obok stał niewielki budynek mieszkalny. Trzeba było w opisie zaznaczyć ulicę i numer domu, a nie widziałem ich z zewnątrz. Wszedłem więc do środka, rozglądałem się, aż tu nagle wchodzi do sieni dwaj mężczyźni w cywilu i

przytrzymując mnie za ręce, nie pytając o nic, wyprowadzają do milicyjnego samochodu. Zastanawiałem się, skąd tu się znaleźli. Ktoś musiał zakapować. Wiem, bo tak zdarzało mi się wiele razy. Zawożą do centrum na komisariat. Byłem przesłuchiwany. Sprawa została wyjaśniona. Mogłem odejść. Upomniałem się jednak o odwiezienie w miejsce, z którego mnie przywieźli. Tego nie uczynili. Nie miałem już czasu na powrót.

Luty 2024. Strajkują już wszyscy. Najgorzej mają ci, którzy nie strajkują. Warszawiaczy widzieli już reprezentantów prawie wszystkich środowisk. Kogo gościli? Łatwiej chyba byłoby powiedzieć, kogo nie. Nie będę wymieniał ani jednych, ani drugich. Wszystkim są znani. Idą niezbyt równo ulicami, potrząsają chorągiewkami, pozdrawiają, witają przechodniów, niosą transparenty, trzymają wysoko małe i duże tablice, wymachują przyjaźnie i wrogo, uśmiechają się do kamer telewizyjnych, udzielają wywiadów, śpiewają, a najczęściej wrzeszczą na wszystkich dookoła, głośno wyrażają pretensje, zwłaszcza do przeciwników idących obok chodnikami i myślących inaczej, od czasu do czasu z nimi dyskutując nawet „ręcznie”, rzucają różnymi przedmiotami, palą, co się da wokół, zajeżdżają i zastawiają też, co się da i czym się da, pałują (policjanci, ale wyłącznie służbowo), choć czasami im się zdarzy przyłożyć komuś tak po prostu od siebie (to chyba z nerwów, w końcu jak długo można znosić poszturchiwanie i popychanie), filmują odważnie i mniej odważnie (z ukrycia), przez co czasami obrywają od co bardziej krewkich demonstrantów, niemal wszyscy „smartfonują”, tzn. robią zdjęcia, nagrywają, ile wlezie, i informują cały świat, co widzą. Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że temu wszystkiemu przyglądają się tzw. gapie. Ci z balkonów muszą uważać, bo ich też może coś zabłąkanego dosięgnąć. Jeśli chodzi o strajki, wiece, pochody itp., to niewiele się zmienia. Pochodzą sobie, pokrzyczą i rozejdą się do domów. Zdarza się, że pilnujący porządku wychwycą prowodyrów czy organizatorów i narobią im kłopotów. Tak zawsze było niezależnie od panującego systemu politycznego.

Jak już wdepnęliśmy w taki temat, to musimy być konsekwentni i pociągnąć dalej. Walka to jest to, z czym przyjdzie nam się teraz zmierzyć. Aż się boję go poruszyć, żeby nie wywołać jakiegoś konfliktu. Było przecież tak, że wystarczyła iskierka i wybuchały wojny. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. I tak się nie zmieszczę w jednym kawałku, więc podzielę sobie walkę na kilka. Sięgam do historii i mogę udowodnić na podstawie dostępnych źródeł, że walką ludzie byli zainteresowani od początku. Nie będę się wdawał w zawiłą dyskusję o tym, kiedy był ten początek, ale tak czy inaczej musiało się wszystko kiedyś zacząć. No i zaczęło się. Przepraszam, jeszcze się nie rozpoczęło, a już walki trwały. To mityczni bogowie, giganci, herosi itp. zmagali się z sobą, walcząc na śmierć i życie. Wróćmy do czasów historycznych, a dokładniej prehistorycznych. Zostawmy legendy, przypuszczenia i domniemania tak liczne wśród historyków i innych badaczy przeszłości. Ileż już tych *homo* nie wymyślono. A ilu jeszcze przybędzie. Ci pierwsi, powiedzmy z rodzaju ludzkiego, to zbyt wiele nie powalczyli z sobą. To oczywiste. Jeden oddalony od drugiego tysiące kilometrów (chyba jednak trzymali się parami, bo inaczej by wymarli) nie miał okazji. Co najwyżej od czasu do czasu pobił się ze swoją partnerką. To normalne, do dzisiaj mu się ta skłonność utrzymała. A więc musiał się gdzieś wyżyć i znalazł sobie przeciwnika w otaczającej go przyrodzie. Najpierw nie dla przyjemności. Musiał jakoś przeżyć. Później różnie z tym bywało. Walczył z mamutami i setkami innych zwierząt, aż wreszcie przyszła kolej na podobnych mu dwunożnych. Jak zobaczył drugiego, niemal identycznego o pionowej już postawie, nie mógł go zwyczajnie znieść. Dawno już pozbył się prymitywnych patyków, machnął maczugą i po nim. Ówczesne małżeństwa dbały o to, aby się rozmnażać i robiły to z większą znajomością i skutecznością niż dzisiejsze rodziny. Świat się powoli zaludniał, potyczki były stosunkowo nieliczne. Zwierząt z czasem zaczynało ubywać, częściej głodował, więc zaczął jeść jakieś roślinne badziewie. Łakomie spoglądał na coraz liczniej spotykanych

pobratymców. Już nie żeby ich zabić i zjeść. O nie. Przeszkadzali mu, obrabiali jego teren. Znowu było to nie do zniesienia. Dotychczas należał przecież do niego. Przegonił więc sąsiadów i żeby zabezpieczyć się na przyszłość, zagarnął na wszelki wypadek więcej. Zawsze się przyda. Dzisiaj nie jest inaczej.

Lubię popijać coś dobrego. A kto nie lubi? Tak mnie wzięło jakiś czas temu na susz owocowy. Ponieważ dawno skończyłem z torebkami, kupuję sypki. Ale po pewnym czasie, pomijam, że dominuje w mieszankach hibiskus, zauważyłem dosyć pospolity składnik, a mianowicie aromat. Zainteresowałem się nim. Co to znaczy, jaki aromat, dlaczego nie podają dokładnie, o jaki chodzi? No i wyjaśniłem zagadkę. Na aromat dają się skłonić prawie wszyscy. Wiadomo, smak, a bez niego ani rusz. Na tej słabości ludzkiej jadą producenci. Koncerny światowe nie próżnują. Zwąchały niezły interes. Im chodzi prawie wyłącznie o pieniądze. Zatrudniają doborowych chemików, którzy mieszają co się da. I namieszały. Wyprodukowali aromaty sztuczne, nie będę opisywał, z czego, bo inni już to zrobili. Obniżyli swoje koszty, hurtowo wcisnęli je innym pomniejszonym producentom. Ci bardzo zadowoleni, że mogą towar taniej sprzedać, doprawili nimi naturalny susz i rzucili na rynek. Jak się okazało, dostali na to zgodę odpowiednich instytucji, nie musząc wymieniać na etykietach, co tam dokładnie wpakowali. Wystarczy: AROMAT. Tak samo z przyprawami w innych produktach. Wystarczy: PRZYPRAWY. I wszystko jest w porządku. Przynajmniej według nich. Trochę chemii dołożonej do naturalnych składników, choć kto tam wie, czy i te są naturalne, nikomu przecież nie zaszkodzi. W końcu wszystko, co jemy, składa się ze związków chemicznych. Pijący też są ukontentowani. Ach, ten intensywny smak, z czarującymi nutami, o których wspomnę w innym miejscu. I tak na dodatek spisuję z jednego z opakowań: Napar owocowy z maliną. Składniki: jabłko, owoce aronii 30%, kwiat hibiskusa 30%, owoce maliny 5%, aromat. Kupując napar z maliną, myślałem, że maliny będzie najwięcej. A tu tylko 5%. Może się pomylili. Bardziej by pasowało opisać ten napar jako z aronii i hibiskusa. A może jabłka, bo wymienione zostało na pierwszym miejscu, czyli sugerowałoby, że jest go 50%. Ile, tego nie podano. No i na końcu ten nieszczęsny aromat.

Preferuję zdrowy styl życia. Nie chcesz zachorować na raka, to powinieneś robić codziennie to i tamto. Odżywiaj się według zaleceń dietetyków i lekarzy (żeby ci wszyscy doradzający wiedzieli, jakie głupoty się ich trzymają). Koniecznie się badaj (byleś tylko cały dzień nie spędzał w przychodniach i laboratoriach, nie zapominając zabrać odpowiedniej gotówki). Nie jedz tłustych potraw, a i z jajkami nie brataj się zbyt często, bo będziesz miał za dużo cholesterolu. Koniecznie nie pal papierosów, nie pij alkoholu, nie stresuj się. Cukier odłóż. O słodyczach możesz pomarzyć. Sprawdzaj wagę. Niestety, podobnie jak zapewne wiele innych osób przestałem cokolwiek kontrolować. Nawet jednej milionowej porad tu nie pomieszcze. Pytam więc, jak i po co żyć? Czy ci wszyscy „doradzacze i zalecacze” wiedzą, co piszą i czy sami się stosują do wbijanych, wręcz wciskanych innym zasad?

Jeśli nie chodzę, to najczęściej jeżdżę tramwajem. Od kilku już lat zdarza się, że po wejściu do niego słyszę życzenia przyjemnej podróży. Jestem zaskoczony. Wprawdzie miło jest pasażerowi słuchać takich słów, niemniej jakoś mi one nie pasują do sytuacji. Aż takim codziennym podróżnikiem nie jestem. Z podróżami, przynajmniej tymi dalekimi, już dawno skończyłem. Czasem wybieram się do niektórych miejscowości w województwie śląskim. W ciągu ostatnich dziesięciu lat najdalej udało mi się dojechać do Opola. Wtedy owszem, słyszałem w pociągu podobne życzenia i chyba były uzasadnione. Ale tramwajem? Lepiej by brzmiało „przyjemnej jazdy”.

Wino to znakomity napój. Ile win, tylu ich koneserów. Nie będę zachwalał takich czy innych rodzajów i marek. Nie będę pisał też o „ich umiarkowanej kwasowości i bukicie obfitującym w czarną porzeczkę, zioła, przyprawy” i tym podobne bzdety. Jednego jestem pewien. Wcale jakość wina nie zależy od ceny. Niektóre z win za kilkanaście złotych (pamiętam jedno bułgarskie) bardziej mi odpowiadały (nie ze względu na cenę) niż te za prawie stówę. Zagłębiać się w szczegóły też nie będę. Dokonując zakupu, kieruję się sentymentem do jakiegoś kraju, np. lubię Portugalię. Pijam tylko czerwone wytrawne. Od jakiegoś czasu zacząłem dogryzać gorzką czekoladą z suszonym owocem. Można pić w domu i w kawiarni czy restauracji. To kwestia wyboru, nastroju, towarzystwa itp. Jedni piją codziennie, inni raz na miesiąc i rzadziej. Do picia tego szlachetnego napoju konieczna jest odpowiednia lampka. O tych, co piją z butelki w miejscach niezbyt do tego się nadających, nie wspominać. Ich sprawa. Wszyscy tak smakują i piszą o winach, jakby byli ich niewiedząco jakimi znawcami i mieli tak delikatne podniebienia, że wyczuwają wszelkie niuanse smaku. Przypomniał mi się film sprzed kilkunastu lat. Jeden z Australijczyków wpadł na pomysł zaproszenia kilku właścicieli tamtejszych winnic i smakoszy zwanych kiperami. Ci ostatni uważali, że mają kubki smakowe lepsze od kangurów i innych tubylców. I co się okazało? Ano tyle, że ośmieszył ich przed kamerami. Nie potrafili rozpoznać nawet swoich win i mylili się ustawicznie przy degustacji. To była przednia zabawa i przyjemność połączona z degustacją. I taką też powinno być sączenie wina.

Krytyka. Ależ to temat. Aż się boję cokolwiek o niej napisać. Można bać się krytykować, ale jeszcze trudniej być krytykowanym. Powodów do krytykowania w naszym społeczeństwie jest bez liku. Od pewnego czasu w Internecie sporo hejtu (jakaż to słowo zrobiło karierę, czyżby nie było odpowiednika w języku polskim). To chyba taki rodzaj krytyki skrajnej, nieuzasadnionej, żeby nie powiedzieć chorobliwej. Kto ma jednak rozstrzygać, czy jest uzasadniona czy nie. Czy nie krytykuj, to nie hejtuj? Specjalistami od uznawania wypowiedzi ustnych czy pisemnych pojawiających się w mediach za coś dozwolonego bądź nie są prawnicy. To jedna z grup zawodowych lubiąca zarówno krytykować, jak i bronić się, a także innych przed krytyką. Ten rodzaj działalności preferują, albowiem jest bardzo opłacalna. Oczywiście dla nich, a nie ich klientów. Najgorsze jest to, a może najzabawniejsze (nie dla wszystkich), że mają niemal na każdy temat różne zdania. Starcia między nimi ogłaszane szerokiej publiczności są dla jednych powodem do hejtu, dla innych do krytyki, jeszcze dla innych do zastanowienia, o co tu chodzi. Jak zwykle na końcu dosyć długiego łańcucha przyczyn stoi tzw. kasa. To nic odkrywczego od dawna. Z tzw. dzisiaj hejtem miał już do czynienia w starożytności Sokrates. Warto przeczytać rozmowy Platona z nim. Dodam jeszcze, że prawie wszyscy są bardzo wrażliwi na krytykę. Można krytykować innych, ale nie ich. Reakcje są różne. Jedni są bardzo odporni, inni zaraz płaczą. Czy zwracanie uwagi to też krytyka? Krytykować można ustnie i pisemnie. Jedni lubią krytykować, inni nie, bo się boją skutków. Wołają nie zadzierać. Więc najczęściej kalkulują, czy się opłaca, czy nie, czy się na tym dobrze wyjdzie, czy nie. Takie kunktatorstwo. Zwłaszcza w sporze z szefem, bo ta grupa osób jest nad wyraz wrażliwa na krytykę. Przykłady można przytaczać bez końca Nigdy nie chowałem głowy w piasek. Kiedyś skrytykowałem działalność pewnego urzędnika w jednej z publikacji i zaraz zostałem wezwany na dywanik. Nie tylko szefów krytykowałem, a nawet szefową, ale rachunki załatwialiśmy między sobą. Różnie to bywało. Z doświadczenia wiem, że większość krytykę ignoruje, czyli olewa. Nie przyjmuje jej do wiadomości. Ma ją w nosie. Przynajmniej psychicznie na tym dobrze wychodzi.

„Były reprezentant Polski wskazał największy problem Biało-Czerwonych. W debiucie Fernando Santosa Biało-Czerwoni zaprezentowali się wręcz żenująco.

Tamtejsze media zaskoczyły prezentacją składu Biało-Czerwonych. Wielki sukces Biało-Czerwonych! Polacy blisko awansu do MŚ elity. W mediach społecznościowych panuje zachwyty nad grą Biało-Czerwonych. Co się dzieje z Biało-Czerwonymi? Polki sensacyjnie uległy Egipcjom! Powoli mistrzostwa świata w lekkoatletyce dobiegają końca, ale to nie oznacza, że w kolejnym dniu zabraknie występów Biało-Czerwonych.” To tylko kilka wybranych dla przykładu zdań z reprezentantami kraju w różnych dyscyplinach sportu. Słyszałem na Youtubie, jak prof. Jan Miodek zwracał uwagę, że biało-czerwoni nie powinni być napisani dużą literą. „Po co te duże litery” – pytał. Panie profesorze, zwracanie uwagi komukolwiek w dzisiejszych czasach jest nie na miejscu. Niedawno przekonał się o tym prof. Jerzy Bralczyk. Tak czy siak, ważne jest, że są biali i czerwoni, „duzi czy mali”, wszystko jedno.

O żywności można pisać bez końca. Tu ustosunkuję się do różnych przekazów o tym, czy jedzenie dostępne na rynku jest zdrowe, czy nie. Co ja biedny mogę tu dołożyć? Internet jest zalany wiadomościami na ten temat. Tu ogólnie i dyplomatycznie, żeby się nikomu nie narazić (choć to raczej niemożliwe, bo zapewne pół będzie za, a pół przeciw) przekażę, że żywność jest i taka, i taka. Do wyboru. Jak ktoś chce się truć, nikt mu tego nie zabroni. Wolność Tomku w swoim domku. Trzeba jednak powiedzieć, że toczy się ostry spór między tymi, co chcą innych uzdrawiać, a tymi, którzy mają ich w głębokim poważaniu. Narzucanie nawet głupiemu swoich przekonań, choćby nie wiem jak rozsądne były, np. nie pal czy nie pij alkoholu, i tak nie będzie skuteczne. Oni wybiorą bzdurne reklamy, bo im do nich z różnych powodów bliżej.

Władza ma to do siebie, że najlepiej jej w pojedynkę. Toż to niezwykła przyjemność rządzić samemu. Można robić, co się chce. Rozkazywać, przemawiać do rozumu pozostałym według swojego uznania, narzucać innym swoje poglądy, nie wysłuchiwać głupot różnych doradców i ekspertów, decydować, co, jak, gdzie itp. Dlatego najdłużej przy władzy utrzymują się dyktatorzy. Niektórzy są łagodni, inni nie, wręcz brutalni. O wielu chciałoby się zapomnieć, ale jakoś tak się składa, że w mediach, nie mówiąc o książkach, przewijają się cały czas. Nie trzeba udowadniać, że żony dyktatorów też przy okazji coś uskubią. Pełny luksus, można mieć wszystko, no prawie wszystko. Zdrowia im nikt nie zapewni. Można się też wykazać szczególną do tej pory ukrywaną umiejętnością, a mianowicie gromadzenia pieniędzy, ale nie ku pożytkowi innych, tylko pod siebie. Ta przypadłość nie zawsze uwidacznia się podczas władania, najczęściej dopiero później, o czym obficie i z lubością donoszą historycy. O tym, co władca teraz robi, niekiedy przebąkują tzw. opozycjoniści. Pojedynczo niewiele wskórają. Można powiedzieć, że pojedyncza władza jest w znacznie bardziej komfortowej sytuacji niż pojedyncza opozycja, która na ogół kończy w różnych miejscach przygotowanych troskliwie przez tę pierwszą. Plusów władzy jednoosobowej jest znacznie więcej niż minusów, dlatego jest na nią olbrzymi popyt. Wszystko jednak nie może trwać bez końca.

Cały czas media donoszą o wyginięciu niektórych gatunków fauny i flory, inne zagrożone są wymarciem. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zniknie największy szkodnik wszechczasów. Pojawił się na Ziemi stosunkowo niedawno i w miarę upływu tysiącleci zachowywał się tak, jakby on był władcą wszystkiego na tej Ziemi. Ba, od pewnego czasu wykorzystując swój destrukcyjny charakter, planuje przenieść się poza kulę ziemską. Mało mu widać rozrabiania tutaj, więc hulaj dusza.

W Polsce chleją obecnie (2024 rok) gorzałę jak nigdy dotychczas. O wiele więcej statystycznie biorąc niż w PRL-u. I żadne rządy nic nie mogą w tej sprawie wskórać. A może nie chcą, bo coś tam do kasy wpływa. Kontynuowanie tradycji w tym zakresie też nie jest bez znaczenia. Koszty, jakie ponosi społeczeństwo z tego powodu, są olbrzymie. Szkody z pewnością większe niż zyski ze sprzedaży łatwo dostępnego trunku, o zgrozo, także na stacjach benzynowych. Połowa Polaków, według ostatnich doniesień, chce jednak płyny tam dostępne mieszać według potrzeb. Oba paliwa, i to wlewane do baku, i to wlewane w gardło są niezbędne od czasów, kiedy je zaczęto stosować. Widać, że tak być musi. Paliwo „gardłowe” ma jednak, moim zdaniem przewagę wynikającą ze znacznie dłuższego stosowania. No to chlup w ten głupi dziób (coraz młodszy).

Jeden z portali na dzień dobry napisał: „Bardzo cenimy wiedzę na temat zdrowia i równie chętnie się nią dzielimy”. Ponieważ ja też cenię wiedzę na ten temat podobnie jak miliony Polaków, więc też chętnie się będę nią dzielił. No i tak wszyscy niemal zaczęli się już dawno tą wiedzą dzielić. Dzielią się i dzielą, a końca tego dzielenia nie widać. Profesjonaliści i amatorzy, uczeni i cwaniacy. A kto z czytających, z jakich rad skorzysta, to jego sprawa. Na ogół kończą się zaproszeniem do kupna medykamentów u nich bądź skontaktowania się. Obojętnie z której „końcówki” byśmy skorzystali, obie mają na celu na ogół (nie mogą napisać zawsze) wyczyszczenie naszych kieszeni lub sianie zamętu w głowach. O ile w pierwszym przypadku można się najczęściej poniewczasie połapać, o co chodziło, o tyle w drugim jest znacznie gorzej. Mętlik wywołany wciskaniem kitu uszkadza nasze komórki mózgowie. Najgorsze jest to, że choroby związane z tą częścią ciała prowadzą do zmian przeważnie przewlekłych, a nawet nieodwracalnych. Jeśli drenaż następuje u młodych ludzi, powstaje problem. Zdaje się on nasilać w ostatnim czasie i prawdopodobnie przejdzie w epidemię o trudnych do przewidzenia skutkach.

Jesienią 2023 roku zobaczyłem biało-czarnego kota koło domu. Widziałem go już na naszym osiedlu, ale w innej części. Kotów wolno żyjących tutaj już prawie nie ma. Pewnego dnia ujrzałem, jak wychodzi z dylatacji między budynkiem, w którym mieszkam, a sąsiednim. To nawet nie pięćdziesiąt metrów od mojego balkonu. Opiszę wszystko szerzej w innym miejscu. Tu tylko wspomnę, że to kotka. Nazwałem ją Iga. W końcu października przyszły na świat dwa czarne łobuziaki z białymi skarpetami i krawatami. Zostały wyłapane i dostarczone do jednej z fundacji mieszczącej się w lecznicy przy ulicy Kanarków w Brynowie. Ale z Igą nie poszło tak łatwo. Spróbowałem ją schwytać na początku grudnia, żeby znowu nie zaszła w ciążę. Już kręciło się przy niej dwóch amantów (czarny i rudy). Dokarmiłem ją. Była samowystarczalna. Nie potrzebowała paskudnego jedzenia z puszek i saszetek. Łapała ptaszki i myszki. 5 grudnia nadarzyła się okazja: przy okienku piwnicznym złapałem ją prawą ręką za kark i niosę. Chciałem ją pogłaskać lewą, że niby taka grzeczna. A ona nagle mnie cap. Musiałem wypuścić z rąk. Okazało się, że 4 zęby mocno wbiła w palec. Skończyło się na antybiotyku. Ledwo z tego wyszedłem. Powiedziałem jej, że tym razem była lepsza, ale rewanż niebawem nastąpi. Pominę tu inne szczegóły, jak ten, że znalazła się w 2. połowie grudnia w piwnicy budynku obok, o czym poinformowała mnie sąsiadka. Otworzyłem kotce okno i wydostała się z niej na początku stycznia. Wreszcie przyszedł decydujący pojedynek. Przedpołudnie 1 lutego 2024 roku. Przechodzę obok balkonu i słyszę „miau”. No dobrze, zaraz ci przyniosę coś do zjedzenia. Zerknąłem na nią. Brzuszek wyraźnie zaokrąglił się. Chłopaki popracowały w grudniu skutecznie. Szybko myślę, przecież jak jej nie złapię, to znowu urodzi i maluchy mogą teraz (jest początek lutego) na ewentualnym mrozie nie przeżyć. Biorę więc transporter i idę do okienka piwnicznego z drugiej strony. Wołam ją, ale jest czujna, nie daje się pogłaskać. Przekładam dwójka z jedzeniem z okienka bliżej forsycji. Obok pojemnik ustawiony na sztorc, żeby łatwiej była ją włożyć. Zaczyna jeść, dotykam jej

karku. Nie ucieka. No to ściskam, podnoszę, wisi spokojnie. Tym razem szybko do pojemnika. Zamykam go lewą ręką z nałożoną wcześniej specjalną grubą rękawicą, żeby mnie nie zadrapała. Sprawdzam dokładnie, czy dobrze zamknąłem. Poszło nawet niespodziewanie łatwo. No, ale się do takiej akcji porządnie przygotowałem. Coś tam marudzi. Mówię jej, że teraz jest 1:1. Obiecałem. Zaniósłem p. Oli. Pojadą zaraz do fundacji, gdzie się nią zaopiekują. Spędzi noc w ciepelku. Zadzwoiłem tam zaraz. Wy tłumaczyłem o co chodzi. Dzisiaj jest piątek, a weterynarz będzie po południu w poniedziałek. Iga za parę dni urodziła 3 martwe kociaki, w kolejnym dniu jeszcze jednego i jakby było mało za cztery dni piątego. Wszystkie nie żyły. Była pod opieką weterynarza. Nie wiem, czy w szczelinie by przeżyła. W lecznicy spędziła 2 tygodnie w klatce. Jak ona to wytrzymała? Pani Iza opiekowała się nią troskliwie. Została wysterylizowana. Pojechałem po nią parę dni później. Przywiozłem do domu i nie wypuszczałem przez pięć dni. Została u mnie. To bardzo inteligentna kotka. Dalszy ciąg przygody z Igą opiszę w innym miejscu.

Teraz o naganiaczach. Wszyscy chyba nimi jesteśmy, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę. Nagania kto chce i jak chce. Podam parę przykładów. Najwięcej ich w Internecie. Tam jest dużo młodych, więc łatwo im to idzie (choroba smartfonowa). Co portal, to naganianie do kupna, zobaczenia, sprawdzenia, spróbowania, testowania itp. I zaraz po kliknięciu wpychają się do kolejki reklamiarze. Po ich pominięciu, co czasami przychodzi z trudem, naszym oczom ukazuje się prawie bezgraniczne, z licznymi odsyłaczami, linkami itp. zachwalanie. Naganiają, ile wlezie, nie licząc się z kosztami. Jak nabiorą jednego na stu to będzie dobry wynik. A można go zawsze poprawić. Naiwnych nie brakuje.

Sporo naganiaczy jest w ochronie zdrowia. Wiadomo, jest ono najważniejsze, więc każdy wszystko robi, żeby czuć się jak najlepiej i długo żyć. Aż się boję iść dalej tą ścieżką. Trudno. Lekarze są tego najlepszym przykładem. Nie wiem, czy uczą ich tego na studiach. Większość, zdaje mi się, to samouki w tej specjalności. Latami nabierają doświadczenia. To intratne zajęcie. Naganiają do niekończących się badań różnego rodzaju, mierzenia ciśnienia, poziomu cukru, cholesterolu, ba nawet całych pakietów, ponownych konsultacji, setek innych według nich niezbędnych czynności w celu poprawy zdrowia. Nie pozostają w tyle farmaceuti. Każdy produkt w aptece jest dobry na wszystko. Trzeba go upłynnić, i tym się skutecznie zajmują. Pomoże czy nie, nieważne. Warto spróbować.

Cały handel to kolejni naganiacze. Tony gazetek, stron internetowych, promocji, obniżek (o podwyżkach raczej cicho).

Właśnie przejrzałem wiadomość przekazaną przez dziennikarkę Wirtualnej Polski, że jakiś badacz całe życie ślęczał na problemami dotyczącymi starzenia się. W końcu czymś musiał się zająć i doszedł do niebywałego wniosku. Należy jeść kurkumę, czarnuszkę i imbir oraz suplementować witaminy D3 i B12. Łyka je ponoć regularnie. Nie sędzę, aby długo na nich pociągnął. Zapewne mu nie zaszkodzą, o ile nie zapomni się i nie przekroczy dozwolonych granic ich spożycia. Zobaczymy, czy długo pożyje. Po pewnym czasie można będzie zapytać: I po co mu to było? A czy wspomniana dziennikarka będzie się odżywiać według jego propozycji, nie napisała. Takie bzdury serwowane są codziennie na tysiącach portalach, karmiąc zwłaszcza młodszą część społeczeństwa na nie podatną, bo pytającą się nieustannie w innych miejscach: Co jeść? Jak widać, wybór ma olbrzymi. Znowu temat do rozwinięcia w nieskończoność.

Filmy dokumentalne o przyrodzie, interesujących miejscach na ziemi oglądałem od początku, tzn. od lat pięćdziesiątych, kiedy pojawiła się telewizja. Może przy innej okazji wspomnę nieco więcej o jej dobrych czasach, teraz tylko nadmienię, że jest coraz więcej filmów, najczęściej seryjnych, w których różne gadające głowy opowiadają o tym, co oglądają. Nie mogę tego znieść i telewizor wyłączam. Całe szczęście, że jest taka możliwość.

Zwyczaj ten, jak wiele innych głupich pomysłów, przywędrował do nas ze Stanów Zjednoczonych. Są jeszcze jednak filmy nagrywane bez różnej maści pajaców, z udziałem lektorów w oszczędnych słowach uzupełniających czy komentujących to, co pokazywane jest na ekranie. Nie wymieniam ich nazwisk, bo są na pewno telewizjom znane.

Po co nam pchać się w kosmos? Już na Ziemi żeśmy narozrabiali, a co poza nią będzie, Bóg raczy wiedzieć. Jestem przekonany, że nic dobrego. Na pewno śmietnik.

Jednym z ciekawszych wynalazków, które pojawiły się w dawnych czasach, jest pieniądź. To już ponad 2 tysiące lat minęło, od kiedy rządzi światem. Prawie od razu stał się niemal bogiem. Więcej pieniędzy gromadzić, zbierać, odkładać, mnożyć, ciułać. Aby je zdobywać, najprostszym sposobem jest dojście do władzy. Wtedy można wszystko, bowiem władza ma wyłączną rację i wiele innych atutów. Pozostali się nie liczą. Zwłaszcza będący w mniejszości. Im głupszy władcy (choć w pewnym sensie nie tacy znów głupi), tym gorsza sytuacja pozostałych. Demokracja to tylko szyld. Obławiają się prawie wszyscy równo. A zmiany rządów to można powiedzieć zamienić stryjek siekierkę na kijek. Tylko jedni się z tym nie kryją, trzymając się „góry” i walcząc z otwartą przyłbicą, inni wykonują doskonałą robotę w białych rękawiczkach, nie chcąc narażać się reszcie i zamiatają wszystko pod przysłowiowy dywan. O tym wszystkim dowiadujemy się codziennie dzięki mediom, co jednak wielu ludzi denerwuje. Wszystko to przecież historycznie biorąc tajemnica poliszynela.

Od czasu do czasu zjadam rybę wędzoną, najczęściej makrelę. Niedawno wstąpiłem do sklepu rybnego. Przyglądam się napisom. Na dwóch skrzynkach ryby wędzone naturalnie, a na innych takich adnotacji nie ma. Te pierwsze w znacznie wyższych cenach. Pytam więc sprzedawczynię o co tu chodzi. Wdaliśmy się w pogawędkę. Dowiedziałem się, że te z dodatkiem „naturalnie” zostały uwędzone według metody tradycyjnej, a te bez, dymem wędzarniczym. Nie wiedziałem. Na portalach poświęconym temuż dymowi piszą prawie wyłącznie o jego zaletach. Są nawet ich zdaniem lepsze, mniej szkodliwe dla zdrowia niż wędzone tradycyjne. Ten sposób wędzenia dotyczy również innych produktów spożywczych. Kto takie głupoty wypisuje, ano grupy zajmujące się dystrybucją aromatów dla rynku spożywczego. Tak się robi ludziom wodę z mózgu. Rzygać mi się chciało od kłamstw i kręctw tam napisanych. Nie będę ich komentował, ponieważ napisał o tym i innych dodatkach obszernie H.-J. Grimm w książce „Jedzenie czy trucizna” na s. 107–140. Polecam. To znakomita lektura, lepsza od kryminału podobnie jak i jego pozostałe książki pisane znakomitym, przystępnym językiem.

Mawiają, że życie to nie bajka. Jasne. Aby się o tym przekonać wystarczy zajrzeć do kronik policyjnych. Internet też jest usiany wiadomościami o tej niebajkowej stronie życia. Ludzie giną w najprzeróżniejszy sposób, czasami w najdziwniejszych sytuacjach. Każdego roku, raz mniej, raz więcej, bywa, że z tendencją wzrostową odchodzą młodzi i starzy. Tu wszyscy są równi. Ginią masowo m.in. w wypadkach samochodowych, w katastrofach samolotowych, tonąc na statkach i łodziach. W powietrzu, na lądzie i w wodzie. Wychodzą z domów oraz miejsc pracy i nie wracają. Popełniają samobójstwa. Są masakrowani, mordowani, gwałceni nie tylko podczas wojen. Te z kolei uśmiercają dziesiątki tysięcy najczęściej Bogu ducha winnych cywili. Umierają z powodu zatrutego środowiska, niezdrowego jedzenia pełnego szkodliwych substancji oraz zabójczych leków. Zarażają się nagminnie w szpitalach, padają ofiarami lekarzy popełniających coraz więcej błędów w diagnozowaniu chorób i podczas operacji. Sami faszują się np. narkotykami, piją alkohol i palą papierosy ponad wszelką miarę. Te i inne patologie są powszechnie znane. Wreszcie

dopadają ich wszelakie paskudztwa, jak m.in. bakterie, wirusy i grzyby oddzielnie bądź w czasie pandemii, jaka nas nawiedziła niedawno, i inne liczne zarazy. Nie zdołałbym ich wymienić wszystkich, a nawet niewielkiej części. O rzadszych przypadkach nie wspominam w tym miejscu. W skali globalnej zapewne takimi nie są. Tak było od „zawsze”. Różnorakie statystyki to dobitnie pokazują. I nic się na to nie poradzi. Historia i pod tym względem kołem się toczy.

Smaki mnie specjalnie nie interesują. Myślę o tych związanych z jedzeniem. Na zdrowie mają niewielki wpływ bądź żadnego. W codziennej diecie kieruję się wartością odżywczą. Do pięćdziesiątego roku życia jadłem byle co. Nie byłem wybredny. Nigdy nie zostawiałem jedzenia na talerzu ani nie wyrzucałem do śmietnika. Ale też nie dbałem specjalnie o to, co jem. Zmiana mojego podejścia do żywienia nastąpiła dopiero w końcu lat dziewięćdziesiątych. Reakcja naszych zmysłów na niektóre bodźce jest bardzo zróżnicowana. Gdybym powiedział, że nic mi nie smakuje, tobym skłamał. O smaku możemy przecież mówić w różnych aspektach, na przykład estetycznym. Przyznaję, że nie wiem, dlaczego teraz smakuje mi kawa w filiżance, herbata w kubku, piwo prosto z butelki, a wino wyłącznie czerwone wytrawne w szklanym kieliszku odpowiedniego kształtu. Dawniej nie przywiązywałem do tych spraw jakiegokolwiek wagi. W latach szkolnych piłem wszystko, w czym mi podano. W latach sześćdziesiątych herbatę np. gruzińską sypaliśmy do szklanki, zalewali gorącą wodą i tyle. Kawy wtedy prawie nie piłem, ale jak była okazja, to postępowaliśmy tak samo. Takie były czasy. Piwo najczęściej w kuflach z grubo rżniętego szkła, bo tylko takie były w gospodach wiejskich podczas wykopalisk. Wtedy również piliśmy dobre piwa głubczyckie, namysłowskie bądź zabrskie z butelki i to mi do dzisiaj zostało. Win nie było wiele, więc gustowaliśmy w grzańcach rozlewanych do szklanek. Kiedy nastał kapitalizm i wina pojawiły się w wielkim wyborze, zdołałem już wypić wiele gatunków pochodzących prawie z całego świata. Jedne były lepsze, inne gorsze. O tym przekonywałem się dopiero po ich skosztowaniu. I doszedłem do wniosku, że cena nie miała większego wpływu na ich smak. Parę lat temu trafiłem na tanie wino bułgarskie i było znakomite, o czym już chyba wspominałem. Innym razem wydałem sporą kwotę, aby spróbować słynnego, mocno reklamowanego i mi nie smakowało. Zapewne to kwestia gustu, a ten każdy ma inny. Kawę na dobre piję od paru lat. Zacząłem od rozpuszczalnej, ale szybko zamieniłem ją na ziarnistą. Najpierw kupowałem kawę mieloną do kawiarki Bialetti. Używałem jej krótko, bo była przeznaczona, jak się okazało, do parzenia trzech porcji, a tyle nie potrzebowałem. Potem stwierdziłem, że nie wiem, co tam mieli i wsypują, więc sprawiłem sobie młynek Hario (bardzo dobry) i zacząłem pić kawę świeżo mieloną. I tak jest do tej pory. Próbuję kaw, podobnie jak win, z całego świata. Nie mam zbyt wyrafinowanego smaku, więc nie bardzo rozróżniam, skąd ziarna pochodzą. Smakosze piją kawę z ekspresu i czarną. Ja parzę we frencz pressie i dolewam sporo śmietany 30%, żeby pozbyć się gorzkiego smaku. Mleka nie piję w ogóle, a cukrem niczego nie słodzę już od czterdziestu lat. Parę lat temu spróbowałem kakao w proszku. Dużą łyżkę wsypałem do jogurtu typu greckiego, wymieszałem. W ten sposób postępuję do dzisiaj. Z kefirem bądź zwykłym jogurtem jest niedobre. Ostatnio mieszam ze śmietanami 12 bądź 18%, ponieważ wymieniony typ jogurtu znacznie się pogorszył. Czekoladę minimum 85% jadam codziennie po kawałku. Do tej bardzo gorzkiej, 95 i 100%, dodaję owoc suszony, np. śliwkę lub daktyla.

Zastanawiałem się od dawna, dlaczego Polacy czasami mówią i piszą, że zwierzęta zdychają. Nie zdarzyło mi się nigdy w ten sposób mówić, a tym bardziej pisać. Już chciałem wyrazić na ten temat swoje zdanie, ale właśnie natrafiłem w Internecie na artykuł Darii Siemion z czerwca 2023 roku, w którym zajęła się tą sprawą w rozmowie z dwiema lingwistkami. Nic dodać, nic ująć.

[zwierzę umiera czy zdycha? Zapytaliśmy o to językoznawców](#)

Co najmniej kilka marketów ma najtańszy koszyk. Lidl tańszy od Biedronki, a Biedronka tańszy od Lidla. Kaufland nie poddaje się, twierdząc, że ich koszyk najtańszy. Komu wierzyć? Idę na zakupy i oczom nie wierzę. Upewniam, że ceny są naprawdę niskie, zawsze tanio, suuper sobota, a raz nawet zobaczyłem suuuper (widocznie 3u są bardziej przekonujące, ciekawe, na ilu skończą, bo konkurencja nie śpi i może ich przebić), extra okazje, tylko w poniedziałek, nie przegap tej okazji, wybór w dobrej cenie, z miłości do gładkości, a ile hitów: hit cenowy, oczywiście hit za hitem niemal na każdej stronie, super tanio, super cena, cięcie cen, złap wyjątkowe okazje, soczysta oferta itp. Aż tu nagle spada na mnie jak grom z jasnego nieba wiadomość, że jak kupiliście jakieś produkty w Biedronce, Lidlu czy innych sklepach, to nie wolno ich jeść ani pić, na dodatek „absolutnie”. Zostały wycofane. I podawana jest długa lista, prawie taka jak w ulotkach załączanych do leków. No to jak to się ma do tego, co czytamy w gazetkach? Czy to były hity czy raczej kity?

Pandemie były od zawsze, więc nie należy się nimi specjalnie przejmować. Jednak jedna z nich ma się szczególnie dobrze i należy do najstarszych. Trwa od początku i zostanie z nami na zawsze. To pandemia głupoty. Rozprzestrzeniła się na całym świecie wraz z pojawieniem się rodzaju ludzkiego. Znakomitą większość osobników dwunożnych należało zaszczepić, i to tak wcześniej, jak tylko można. Tak się jednak nie stało, bo nie było czym. Do tej pory nie znaleziono na nią szczepionki. Myślę, że i tak część nie chciałaby się zaszczepić, i to nie ta mniejsza jak przy covidzie, tylko większa. A dlaczego? No bo im z tym dobrze. Może też boją się poszczepiennych komplikacji. Nawet jeśli jakieś próby w tej mierze są czynione, to nie przynoszą znaczących skutków, bowiem ludzkość ma ją w genach, a więc nie ma rady. Musimy sobie jakoś radzić. Albert Einstein powiedział: „Tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat oraz ludzka głupota, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej.” Dlaczego tak się dzieje, że o zbyt wielu sprawach decydują ludzie głupi, nie wiem. Przy takim postępie technicznym, sukcesach chirurgów w wycinaniu już prawie wszystkich części ciała i zastępowaniu ich nowymi, jakoby lepszymi (tu miałbym pewne wątpliwości), zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej skoncentrować się na jednej części, a nie rozpraszać na drobne. Tą częścią jest mózg. Trochę już o nim napomknąłem. Nie wiem tylko, co byłoby łatwiejsze i skuteczniejsze. Wymienić tylko mózg czy całą głowę? Jedno i drugie ma, tak to zwykle bywa, swoje dobre i złe strony. Wyjściem byłoby pozwolenie na decydowanie o przeszczepie pacjentom. Oczywiście cała operacja zależałaby od kasy. Trudno w tej chwili ocenić, co byłoby droższe, cała głowa czy mózg. Prawdopodobnie niemało byłoby takich sytuacji, w których pytanie pacjenta, co woli, byłoby bezzasadne. Z różnych powodów kwalifikowałby się do wymiany. Czasami nawet natychmiastowej. I wyglądałoby to wszystko dobrze, gdyby nie prawnicy. Zwietryliby w tym interes i wszystko popsuli.

O języku będzie oddzielnie. Tu tylko zasygnalizuję, bo akurat mi się przypomniało w związku z uwagami o pandemii, że w Polsce lekarze mówili i pisali o jak największym wyszczepieniu nas, a nie zaszczepieniu. Niektórzy medycy mają poważne problemy z posługiwaniem się językiem polskim. Jednym z nich jest wszechobecne u nich „w obrębie”, że np. coś się dzieje nie w żołądku, lecz w obrębie żołądka, nawracające stany zapalne w obrębie jelit, a nie w jelitach, zmiany miażdżycowe w obrębie tętnic wieńcowych, zamiast w tętnicach wieńcowych itp.

Fotografując, musiałem się przygotować i robić zdjęcia w odpowiednim, najlepiej słonecznym dniu. Zaglądałem do różnych portali dowiedzieć się, jaka pogoda będzie jutro. No i co się okazywało. Technika tak zawansowana, że głowa boli. Satelity, najnowsze

urządzenia. A efekty mizerne, żeby nie powiedzieć złe. Jedyne w miarę mi pomocny okazał się Sat24. Przesuwające się chmury i pokazywany na pasku czas znacznie pomagał. Ale nie zawsze. Okazało się, że niekiedy rano przesuwające się chmury, albo ich brak, zapowiadały czyste niebo na cały dzień. Wychodziłem, a tu za jakąś godzinę nadciągają chmury i jest ich coraz więcej. Skąd się wzięły? W ciągu następnej godziny musiałem wracać, bo zaciągnęło się na dobre. Przyjeżdżam do domu. Sprawdzam. Czyżbym się pomylił? Nie. Na niedawno czystym niebie chmury ukazywały się jedna za drugą. Póki co sprawdzalność pogody stanowi duży problem dla meteorologów. Przedstawiłem fakty, ale nie biorę udziału w dyskusji nad tym zjawiskiem.

Jeśli już o języku zacząłem, to muszę się cofnąć do lat dziewięćdziesiątych. Oglądałem telewizję. Był to program o polszczyźnie. Twarz mówiącego jakaś mi znajoma. Ależ oczywiście, to Jan Miodek. Stary znajomy. Widywaliśmy się dosyć często podczas zajęć w głównym budynku uniwersytetu. Nie o nim jednak tu będę wspominał, ale o szkoleniu wojskowym, które było obowiązkowe dla studentów zdolnych do służby wojskowej. W tym momencie pomyślałem sobie, że muszę uważać na to co i jak piszę, a przede wszystkim czy poprawnie. Może się uda. Co tydzień odbywały się na parterze, w korytarzu na wprost wejścia do budynku, odprawy całej kompanii podzielonej na trzy plutony. Dowódcą kompanii był major Stankiewicz. Będę wymieniał jedynie nazwiska, bo imion nie pamiętam. Mój pluton złożony ze studentów Wydziału Filozoficzno-Historycznego stał najdalej od wejścia, w środku pluton „filologiczny”, a przy wejściu tłoczyli się rozmaici przyszli artyści, a może niektórzy już nimi byli, z Wyższej Szkoły Muzycznej i Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Po odprawie rozpoczynały się zajęcia, wykłady itp. Zapamiętałem majora Klimiata. Inny wykładowca w stopniu kapitana miał ksywę „Byk”. Dosyć często jeździliśmy na poligon. Tam były zajęcia praktyczne m.in. z terenoznawstwa i strzelania z karabinku Kałasznikowa. Po czwartym roku zakończyliśmy szkolenie egzaminem na trwającym bodaj miesiąc obozie wojskowym w Opolu-Wójtowej Wsi. Mam stamtąd parę zdjęć, ale Miodka na nich nie znalazłem. Nie lubiłem tych zajęć. Kazano nam wkuwać na pamięć regulaminy wojskowe. Tacy jak ja musieli czasami powtarzać rok, bo egzaminów nie zdali. Mnie się na szczęście udało. Była jeszcze jedna rzecz związana z tym czteroletnim „wojskiem”, tak mówiliśmy, którą źle wspominam. Mundury, w których musieliśmy się szkolić, nie prezentowały się najlepiej. Ponieważ w tych czasach mieszkałem w różnych dzielnicach Wrocławia, więc nie chciało mi się ubierać u siebie. Przebierałem się u kolegi Wernera Pierzyny mieszkającego na ulicy Szewskiej, gdzie znajdowała się Katedra Archeologii. Nie musiałem paradować po mieście w wojskowym uniformie szytym akurat nie na moją miarę. Wrocławianie, widząc nas, i tak wiedzieli, że to nie zawodowcy, lecz „przebierańcy”.

Napisał latem 2024 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright by Eugeniusz Tomczak